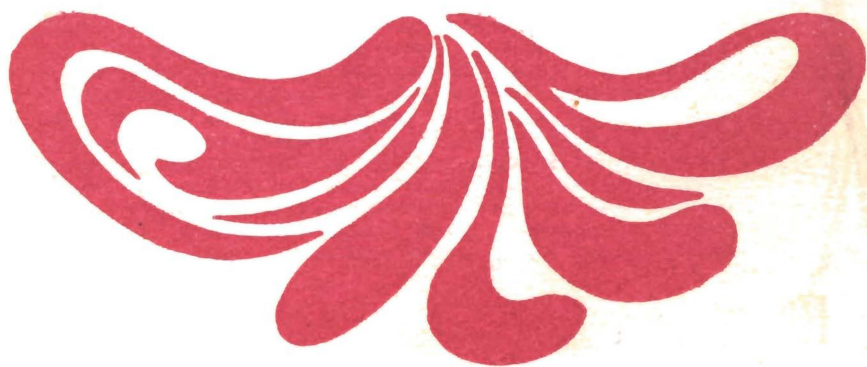


**TEATR DRAMATYCZNY IM. AL. WĘGIERKI!  
W BIAŁYMSTOKU**



**JAROSŁAW ABRAMOW**

**KLIK KLAK**



JAROSŁAW ABRAMOW

## MIT SAMOWARA

**C**zuję się człowiekiem jeszcze młodym — a już od dobrych kilku lat jestem weteranem. Seniorem ruchu teatrów studenckich, ruchu którego bujny rozkwit przypadł — jak wiemy — na okres połowy lat pięćdziesiątych. Niedługo więc obchodzić będziemy dwudziestolecie tego niezwykłego fenomenu społeczno-artystycznego.

Warszawski „STS”, gdański „Bim—Bom”, krakowska „Pivnica”, łódzki „Pstrąg”, wrocławski „Kalambur” — gdzie te czasy? To już historia, zamknięta epoka. Wyrosło nowe pokolenie, które o słynnych programach tych teatrów dowiedzieć się może z opowiadań lub z nielicznych książek. Autorzy tych opracowań postawili sobie za cel opisanie tego — co opisać się nie da. Ale dobre i to. Chwała im za to. Ciągłość tradycji historyczno-kulturalnej nie należy do najmocniejszych stron dziejów. Ciągłe ulega przerwom i zahamowaniom — nie z naszej najczęściej winy. Chwiejna granica między historią a współczesnością w naszym kraju jest jeszcze bardziej względna. Pewne problemy i resentymenty, które dawno powinny wygasnąć i przejść do lamusa, wykazują zadziwiającą preżność, żyją podskórnym życiem, oddziałują na najmłodsze pokolenia — inne zaś, na pozór współczesne, przez nadmierne i nachalne eksploatowanie kosztują nie budząc żadnego społecznego rezonansu. Pewnym wytłumaczeniem tego faktu jest sama współczesność. Zdyszany obywatel, młotający się między pracą, rodziną i dorabianiem na boku podświadomie tęskni do epoki ładu i spokoju, kiedy to czas płynął wolno, nikt się nigdzie nie śpieszył, siedziało się na ganku lub składało wizyty sąsiadom. Stąd niebawala hossa na rekwizyty tej złotej przeszłości. Samowar, lampa naftowa, lichtarz, podniesione do roli symbolu stały się rodzajem amuleków, mających nas chronić przed nadmierną ilością dobrodziejstw, którymi obdarza nas bez opamiętania tak zwany postęp techniczny — jeszcze wczoraj chluba naszego wieku — a dziś, co tu kryć, nieco kłopotliwy gość. Odgradzamy się więc od niego tapetą i boazerią, stawiamy świątki i ikony. Zapuszczamy brody i wąsy, co młodszy z nas przebierają się w stroje swoich

dziadków. Nie na wiele to się zda. Czynimy to wszystko z jakąś niewiarą (żyjemy przecież w dwudziestym wieku), z gorzkim przymrużeniem oka, nie nazbyt serio. To tylko kostium, udawanie, żalosna gęba — jak by powiedział Gombrowicz. Ale problem jest. Nic na to nie poradzimy.

Ta ogólna tendencja panuje wszędzie. W modzie, filmie, literaturze. Nawet muzyce rozrywkowej. Melodramat i neosentymentalizm, zacne trupy do niedawna w takiej pogardzie — zmartwychwstają na naszych oczach. Wbrew logice schemat „Damy Kameliowej” okazał się trwalszy od niejednej zdobyczy awangardy. Paradoxs? Niewątpliwie i największe osiągnięcie teatru absurdu. Jak dotąd. Wszystko co traci myszką, wzrusza lub śmieszy (prawo kontrastu) nie jest jednak obojętne. Myszka więc żyje. Jest formą. Środkiem do przekazania współczesnych treści, kluczem do serc i umysłów o wiele skuteczniejszym niż uczone wizje futurologów. Cofając się zaczynamy rozumieć samych siebie i nie tracimy nadziei, że idziemy naprzód. Znow paradoks. I pytanie — gdzie granica historii?

Skoro zabrnęliśmy już tak daleko w rozważania teoretyczne — czuję się w obowiązku wyjaśnić, że w poglądach na rolę sztuki jestem raczej staroświecki. Wstyd przyznać, ale wierzę w oczyszczającą siłę przeżycia artystycznego i stronie emocjonalnej oddają pierwszeństwo. Najpierw jest śmiech, płacz, czy protest — a potem dopiero refleksja i analiza intelektualna. Niektórzy próbują odwrotnie — w tym upatrują novum — ale ja im nie wierzę. Cały ten wywód nie służy bynajmniej, chytrej obronie pozycji własnej i nie jest dorabianiem teorii do mojej ostatniej sztuki. Jest raczej próbą wyjaśnienia sobie i Państwu jak to się stało, że ja, autor współczesny, napisałem „Klik—Klak” — sztukę o przeszłości — i jeszcze twierdząc, że ma ona coś wspólnego z naszą rzeczywistością.

No cóż. Jako weteran ruchu studenckiego, zdążyłem poznać niepowtarzalność i bezpowrotność pewnych zjawisk, zgubne działanie czasu. Stąd owi starszycy. Ich raczej staram się zrozumieć — co tu kryć — są mi one często bliskie. Martwa historia, powiadacie. Być może. Ciągłe jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ci moi starszycy, chociaż przeszli na zasłużoną emeryturę są w jakimś sensie częścią naszej współczesności i nas samych. Nie wyszli całkiem z gabinetu figur woskowych i potrafią przeskoczyć rampę. Może się mylę. I sam ulegam mitowi samowara? Jakiego samowara? — zapytacie. Tylko bez nowych mitów, miły panie! Żyjemy w erze sputników, do diabła. Ano, właśnie. Żyjemy. W tym cała trudność, drodzy Państwo.

Jarosław Abramow.

## POWRÓT SYNA MARNOTRAWNEGO

Wreszcie Jarosław Abramow powrócił na bulwary. Kiedy przed dwoma laty recenzowałam premierę jego „UCIECZKI Z WIELKICH BULWARÓW” radziłam, by „więcej nie uciekał z wielkich bulwarów, lecz jak najprędzej na nie powrócił”. I oto słowo ciałem się stało, dzięki czemu mamy nareszcie dobrą polską komedię współczesną. Dowcipny, błyskotliwy dialog, zabawne sytuacje, doskonałe role, trochę lezki, trochę satyry, bez mętnej filozofii, bez przybierania pozycji wieszczki narodowej w oparach teatru absurdu — oto aktywa ostatniej sztuki Abramowa. Tylko w finale odbijają się jeszcze słabiutkie pogłosy teatralnej awangardy lat pięćdziesiątych z katafalkiem i surrealistyczną szafą, ale... wybaczenie błędów autorowi — zabrakło konceptu na pointę, a sytuację przecież trzeba było jakoś rozładować. Najważniejsze, że „Klik Klak” jest komedią bardzo sceniczną i bardzo współczesną, choć występują w niej epigoni innych epok. Zdziwiająco jak doskonale Abramow wyczuwa atmosferę — jak to nazywa Wańkowicz „Międzywojnia”, jak świetnie potrafi budować postacie owych czasów, jak swobodnie operuje ich językiem, sytuacjami, schematami obyczajowymi, moralnymi, intelektualnymi.

„Klik Klak” — to podstępny spęd kolejnych mężów pięknej pani Kornelii pod jednym dachem i po trosze pod jednym pantoflem, tkwiącym wciąż na powabnej i energicznej nóżce. Jest więc przedwojenny pułkownik, sanacyjny dyplomata, jest eks — wiceminister ludowej już władzy i młodzian najzupełniej współczesny, jakby zaplątał się na scenę z pobliskiej „Kameralnej”. Z największą sympatią traktuje autor pułkownika z Wołkowyska, najostrej drwi z beckowskiego dyplomaty. Czar munduru nie oszczędził widać i Abramowa. Publiczność najżywiej reaguje na postać odpowiedzialnego, choć już na przyspieszonej nieco emeryturze działacza, co to może i w przemyśle ciężkim, a jak trzeba w rolnictwie i kulturze... Aczkolwiek i ta postać zyskuje sobie sympatię uczuciem do pięknej Kory, uczuciem, które mogło zniszczyć wszystko, czyli karierę... Najmniej do powiedzenia w sztuce i w życiu ma młody człowiek — trochę jakby na etacie żigolaka. Czyżby twórca STS-u tak się nam zestarzał, że już nie rozumie współczesnej młodzieży? (...)

IRENA BOŁTUC  
(Kultura 6.VIII.1972 r.)

POWROT SYNA MARCOTRANIERE



„Anioł na dworcu” Jarosława Abramowa na scenie białostockiej. Reż. Roman Kordziński, scen. Teresa Darocha, prem. 28.I.1967 r. Kazimierz Borowiec (Podróżny), Włodzimierz Kłopocki (Chłop)



„Anioł na dworcu” Jarosława Abramowa na scenie białostockiej. Włodzimierz Kłopocki (Chłop), Kazimierz Borowiec (Podróżny), Ryszard Zieliński (Bagażowy), Sidonia Błasińska (Dziewczyna).

JAROSŁAW ABRAMOW

# „KLIK-KLAK”

SZTUKA W 2 CZĘŚCIACH

## OBSADA

Kornelia — Dagny ROSE  
Grzegorz — Eugeniusz DZIEKOŃSKI  
Teodor — Juliusz PRZYBYLSKI  
Sylwester — Jerzy JASIŃSKI  
Eligiusz — Jacek DOMAŃSKI

REŻYSERIA — STEFANIA DOMAŃSKA

SCENOGRAFIA, — ELŻBIETA CHOJAK

Asystent reżysera — Dagny Rosé

Inspicjent — Tadeusz GROCHOWSKI

Sufler — Maria JABŁOŃSKA—PAROWSKA

**Sezon 1973/74**

Teatr Dramatyczny im. Al. Węgierki w Białymstoku

Dyrektor i Kierownik Artystyczny  
— BRONISŁAW ORLICZ

Zastępca Dyrektora — WITOLD RÓŻYCKI  
Kierownik Literacki — LECH PIOTROWSKI

cena 3 zł